

PIESZE WĘDRÓWKI – NAJPROSTSZA FORMA KONTAKTU Z GÓRAMI

Natura stworzyła człowieka do ruchu, a nie do siedzenia w miejscu, a już na pewno nie do siedzenia za biurkiem. Na szczęście jesteśmy dziś tego coraz bardziej świadomi, co widać między innymi po rosnącej popularności sportów outdoorowych.

Piesze wędrówki to najprostsza forma uprawiania sportu i w dodatku jedna z najtańszych. Nie trzeba wydawać majątku na specjalistyczny sprzęt, wystarczy para mocniejszych butów, plecak i ubranie chroniące przed wiatrem i niepokogą. Nie musimy też płacić za dalekie podróże, kawałek przyrody znajdzie się wszędzie. A przyjemność kontaktu z naturą to już zupełnie darmowy bonus.

Wędownanie to także jedna z najzdrowszych i najefektywniejszych form ruchu. Zdrowa oczywiście wtedy, kiedy nie przeszarżujemy, efektywna, jeśli zdobędziemy się na coś więcej niż coniedzielny popołudniowy spacer w odświętym ubraniu po równych alejkach.

Według Franza Bergholda¹ piesze wędrówki uprawia 54% Austriaków, co przy 8,1 mln mieszkańców Austrii oznacza dobre 4,3 mln piechurów. Przez austriackie góry co roku przewijają się 10 mln turystów i wspinaczy, przez całe Alpy około 40 mln osób².

Jak chodzić?

Na ten temat rozwdziło się już wiele mądrych głów i zapisało tony papieru. Efekt?

1 Prof. dr Franz Berghold, „Alpenmedizinischer Rundbrief der Österreichischen Gesellschaft für Alpin- und Höhenmedizin“ („Biuletyn Austriackiego Towarzystwa Medycyny Alpejskiej i Wysokogórskiej”), nr 23, sierpień 2000.

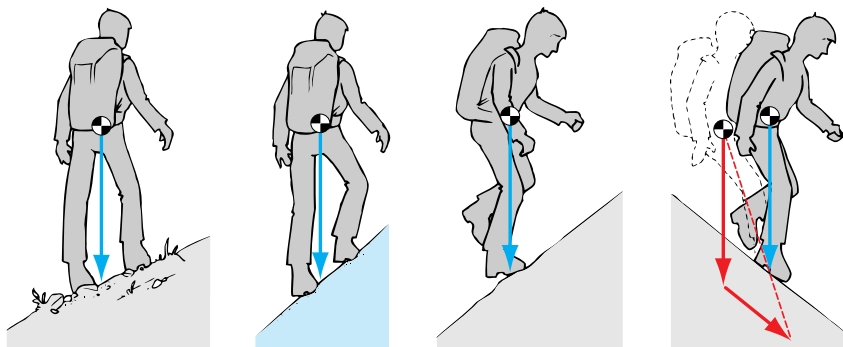
2 Dla porównania, dane ze sprzedaży biletów do TPN mówią, że w 2011r. Tatry odwiedziły 3 081 142 turystów (przypr. red.



łatwo, tanio i zdrowo: wystarczy po prostu stawiać krok za krokiem

Przeważnie banały, często podlane pseudonaukowym sosem. A przecież chodzenie jest takie łatwe. Wystarczy po prostu stawiać krok za krokiem, to wszystko. Uczymy się tego już w dzieciństwie. Dlatego naukowe wywody mówiące o tym, że należy utrzymywać środek ciężkości ciała nad płaszczyzną podparcia (czyli tą, na której stoimy), są nam równie potrzebne, co przekonanie, że dwa razy dwa jest cztery. Małe dzieci same bardzo szybko odkrywają, co powoduje ich upadki. A tego, co już raz utrzymało się w naszej pamięci, zwłaszcza w dzieciństwie, nie zapomnimy do końca życia. Jeśli ktoś nauczył się pływać lub jeździć na rowerze, nie straci tych umiejętności. Problemy pojawiają się dopiero na starość, kiedy zacznie zawodzić nasza motoryka.

Trochę czym innym jest chodzenie po górach. Niedoświadczone osoby mogą mieć problemy z poruszaniem się w eksponowanym terenie. Można tę umiejętność wytrenować, choć taka nauka prawdopodobnie potrwa. Niektórzy mają jednak lęk wysokości. U ta-



Ważny jest środek ciężkości naszego ciała (por. ramka)

kich ludzi ekspozycja budzi paniczny strach. Większość osób cierpiących na tę przypadłość jest świadoma swoich lęków i unika kontaktu z wysokością.

Ekspozowany teren może sprawiać trudności także osobom cierpiącym na lekkie zaburzenia równowagi. Jeśli chcemy sprawdzić, czy któryś z uczestników naszej wyprawy ma takie problemy, wystarczy zaproponować małe ćwiczenie: niech każdy spróbuje zbalansować tyczkę albo kijek narciarski na

dłoni lub stopie. Im gorzej to komuś wychodzi, tym gorzej z jego zmysłem równowagi. Osoby z zaburzeniami równowagi będą się poruszać w ekspozowanym terenie ostrożnie i niepewnie.

Porady dotyczące chodzenia po górach można tak naprawdę sprowadzić do raptem trzech podstawowych wskazówek, które pomogą zapobiec błędom często powtarzanym przez początkujących miłośników górskich wędrówek:



Czworonożne zwierzę, np. jak, zawsze będzie stało stabilniej. Tu na wysokości ponad 4,5 tys. metrów.

- Zawsze, nawet w pochylonym terenie, stawiamy stopę na całej podeszwie (rys. i d); w ten sposób będziemy mieć lepsze oparcie.
- Na kantach butów chodzimy tylko po miękkim podłożu, np. po śniegu (rys. b).
- W stromym terenie, czy to trawiastym, zalesionym, czy ośnieżonym, stojmy i poruszamy się zawsze w możliwie wyprostowanej pozycji (rys. a-d); jeśli w poszukiwaniu lepszego oparcia podczas schodzenia odchyliły się do tyłu, pojawi się dodatkowa siła skierowana w dół zbocza, co może bardzo łatwo doprowadzić do utraty równowagi (rys. d, dolna czerwona strzałka).

Kijki?

W górach to pytanie nie powinno się w ogóle pojawiać. Oczywiście, że kije. Przyjmując wyprostowaną postawę, człowiek utracił przednie kończyny, albo, jak kto woli, dzięki przyrostowi masy mózgu przekształcił je w organy chwytne. Jak zwał, tak zwał, jedno nie ulega wątpliwości: czworonożne zwierzę zawsze będzie stało dużo stabilniej niż człowiek, zwłaszcza w pochyłym terenie, nie mówiąc już o stromiznie. Dlatego brakujące przednie nogi czy łapy powinniśmy zastępować kijami.



Kijki mogą być bardzo pomocne, zwłaszcza kiedy nagle zapadnie nam się noga.

Powinny ich używać zwłaszcza starsze osoby. Badania naukowe dowiodły korzystnego wpływu kijów na stawy kolanowe i biodrowe: odciążenie do 35%¹. Każdemu, kto ma problemy ze stawami, kije mogą się więc tylko przysłużyć. Pomóc mogą nawet profilaktycz-

¹ Instytut Nauk o Sporcie Uniwersytetu w Salzburgu, „Działanie kijów podczas schodzenia”, kierownik projektu prof. dr Erich Müller.



Kijki niesione, jak to się często zdarza, nieprawidłowo (u góry) i prawidłowo (u dołu).

nie, nie tylko wtedy, kiedy już mamy kłopoty.

Ale z kijkami trzeba też uważać. Wędrując po górach gęsiego, często robimy ten sam błąd: czubki kijów trzymamy skierowane do tyłu i do góry, zagrażając w ten sposób osobom, które idą za nami, zwłaszcza gdyby się potknęły. Moglibyśmy ograniczyć to ryzyko, utrzymując większe odstępki, ale przeszkadza nam w tym nasz instykt stadny: mamy tendencję do trzymania się jak najbliżej siebie. Rzadko można zobaczyć ludzi wędrujących po górach w bezpiecznych odstępach.

Jeśli nie jesteśmy przyzwyczajeni do chodzenia z kijkami, często je gdzieś zostawiamy. Na przykład podczas robienia zdjęć. Zabsorbowani pięknymi widokami i dumni z wyjątkowego kadru, który udało nam się uchwycić, chowamy aparat i ruszamy dalej, zapominając, że mieliśmy ze sobą coś



Przechodzenie przez strumień z kijkami ... i bez kijków: mniej pewnie i wolniej.



Jeszcze chwila ... i zacznie nam brakować kijków



Podczas trekkingu ... bez kijków ani rusz

Jakie kijki?

W sklepach sportowych można dziś znaleźć kijki najróżniejszych marek i modeli¹. Te o lekko zagiętych rękojeściach są znacznie wygodniejsze niż bardziej powszechne kijki z rękojeściami prostymi.

Niektóre kijki mają przedłużoną rękojeść w formie owijki z szorstkiej taśmy lub pianki. Dzięki temu, kiedy trawersujemy zbocze, trzymając kijki poniżej rękojeści, nie musimy łąpać za śliską rurkę i oszczędzamy siły (trzymanie gładkiej powierzchni kija wymaga znacznie większego nakładu sił i prowadzi do przedwczesnego zmęczenia). Niestety nie ma jeszcze kijków, które łączyłyby w sobie obie te zalety. Ta luka rynkowa czeka jeszcze na wypełnienie².

1 M.in. w Sklepie Podróżnika (przyj. red.).

2 Takie kijki już są – produkuje je m.in. Black Diamond (przyj. red.).



jeszcze. Łatwo o to zwłaszcza wtedy, kiedy szukając dobrego kadru, oddaliśmy się trochę od miejsca, w którym zostawiliśmy kijki i straciliśmy je z oczu. O kijkach potrafimy zapomnieć w każdej sytuacji, w której nie są nam chwilowo potrzebne, na przykład, kiedy przyciśnie nas naturalna potrzeba. Z drugiej strony użytkownicy kijków bardzo szybko się do nich przyzwyczajają i prędko orientują się, kiedy je gdzieś zostawia. Odzwyczajeni od chodzenia z pustymi rękami, szybko zaczynają czuć, że czegoś im brakuje.

Góry i fotografowanie

Każdy miłośnik gór, któremu udało się zdobyć szczyt i wnieść na niego aparat fotograficzny, musi uwiecznić swój wyczyn. Zdjęcie na tle krzyża wieńczącego wierzchołek to wręcz obowiązkowy punkt programu. Chcemy, żeby nasze bohaterskie dokonanie zostało zachowane dla potomności. Od kiedy istnieją aparaty fotograficzne, wciąż przy takich okazjach zdarzają się wypadki. Zazwyczaj kończą się one śmiertelnie, bo przecież potomność będzie nas podziwiać tylko wtedy, kiedy zobaczy, jak bardzo stromo było dookoła. Dlatego dumni zdobywcy szczytów, którzy chcą zostać uwiecznieni na zdjęciu, stają zwykle możliwe blisko przepaści.

Choć nie ma roku, żeby nie zdarzył się w górach wypadek podczas robienia zdjęć¹, Komisja Bezpieczeństwa DAV nigdy szczegółowo nie dokumentowała takich zdarzeń. Ujmowaliśmy je zawsze ogólnie w rubryce „pozostałe wypadki”. W końcu chyba każdy zna prawo swobodnego spadania, a więc także ci, którzy na górskich szczytach bawią



Jeszcze kroczek do tyłu?

się w fotografów albo prężą dumnie piersi przed obiektywem.

Nie jest to najlepsze miejsce, żeby przypominać znany żart z zawołaniem „Jeszcze kroczek do tyłu!” do osoby, która nie ma pojęcia o zyhającym za jej plecami zagrożeniu. Równie makabryczna byłaby uwaga, że w górach w takiej (lub innej) sytuacji możliwe jest morderstwo doskonałe. Opiszę za to wypadek, w którym podejrzenie zabójstwa można było z całą pewnością wykluczyć. Chyba że było to samobójstwo. Co się wydarzyło?

Latem 2000 roku jeden z turystów nie wrócił do kwatery w Alpach Berchtesgaderskich. Zaniepokojeni gospodarze zawiadomili ratowników. Ci następnego dnia otrzymali informację, że poprzedniego wieczoru widziano samotnego turystę na szczycie Schärtenspitze. Do akcji włączono helikopter i bardzo szybko znaleziono zaginionego – martwego u stóp północnej ściany Schärtenspitze. Na szczycie znaleziono jego plecak i statyw z nastawionym aparatem. Nieszczęśnik chciał pewnie użyć samowyzwalacza. Nie wiadomo, czy aparat uwiecznił śmiertelny upadek właściciela.

Zagrożeni są jednak nie tylko bohaterowie pozujący do zdjęć nad przepaścią. Wypadki zdarzają się także fotografom.

Nieprzypięty do liny wspinacz chciał zrobić zdjęcie zespołowi pokonującemu północną grań Erlspitze (Alpy Lechtalskie). Oparł się

1 W 1984 roku w Austrii miało miejsce pięć śmiertelnych wypadków tego rodzaju. Nie wszystkie podczas robienia zdjęć na szczycie: jeden podczas fotografowania kozicy, inny – wodospadów Krimmler Wasserfälle. W tym ostatnim wypadku fotograf zanim spadł w spienioną przepaść, najpierw przeszedł przez balustradę odgradzającą taras hotelu od wodospadu.



Zawsze jedna ręka na skale

przy tym o spory blok skalny. Ten okazał się luźny, odpadł i pociągnął fotografa w przepaść.

Uwaga: Kiedy patrzymy przez wizjer aparatu, ograniczamy nasze pole widzenia i przestajemy skupiać wzrok na stałym punkcie. W ten sposób można bardzo łatwo stracić równowagę. Żeby tego uniknąć, najlepiej trzymać jedną rękę na stabilnym oparciu (aparatu obsługując drugą (co oczywiście nie jest zbyt łatwe)). Pamiętajmy przy okazji o zabezpieczeniu aparatu przed zrzuceniem w przepaść.

Kiedy zgubimy drogę

Kiedy zgubimy drogę i znajdziemy się w terenie tak stromym, że zaczynamy się bać, powinniśmy bezwzględnie pozostać tam, gdzie jesteśmy. I nie ruszać się nawet wtedy, gdy –zwłaszcza wieczorem lub nocą – przemarzniemy na wskroś i zaczniemy odczuwać przemożną potrzebę jakiegokolwiek działania. Zapanujmy nad nią i w żadnym wypadku nie próbujmy dalszej wędrówki. Ani w górę, ani w dół. Ktoś na pewno uważa naszą nieobecność, zorganizuje poszukiwania i zostaniemy odnalezieni. Istnieje całe mnóstwo przykładów na to, że pozostanie w miejscu jest jedyną słuszną decyzją.

Pewien turysta zgubił drogę, wędrując po Frankenjurze w okolicy zamku Greifenstein. Pogoda była kiepska, więc w pobliżu nie zna-

lazł się nikt, kto mógłby usłyszeć jego wołanie o pomoc. Tkwił więc do końca dnia i przez całą noc na maleńkim skalnym występie. Ktoś z jego bliskich zawiadomił ratowników i już następnego dnia został szczęśliwie uratowany.

Wczesnym latem 2000 roku w górach obok Tegernsee w Bayerische Voralpen turystka postanowiła skorzystać ze skrótu. W pewnym momencie znalazła się w tak stromym terenie, że nie potrafiła dalej ruszyć w żadnym kierunku. Wytrzymała w miejscu 78 godzin, przezrażliwie marznąc nocami. Kiedy zauważono jej nieobecność, zawiadomiono ratowników, którym po długich poszukiwaniach udało się ją odnaleźć.

W noc świętojańską trzech młodych chłopaków palilo ognisko na Löckkogel (Dachstein). Wracali nocą, schodząc stromym, skalistym terenem. Nagle jeden z nich stracił oparcie i spadł 200 metrów w dół skalnej rynn. Zginął na miejscu. Dwaj pozostali byli na szczęście w takim szoku, że nie odważyli się ruszyć z miejsca. Następnego ranka usłyszano ich wołanie o pomoc i zostali szybko uratowani.

W lipcu 1998 roku niemieckie małżeństwo wędrowało z Gleiwitzer Hütte do Schwaigerhaus (grupa Grossglocknera). Pogoda się zepsuła, stracili orientację i zablądzieli. Kiedy zauważyli, że dookoła zaczyna się robić coraz bardziej stromo, postanowili nie iść dalej. Tkwił w miejscu przez cztery kolejne dni i noce (130 godzin), marznąc i głodując. Zostali uratowani dzięki temu, że przygodny turysta zauważył sygnały świetlne, które wysyłali za pomocą aparatu fotograficznego.

W podobny sposób zwrócił na siebie uwagę włoski turysta wędrujący samotnie w masywie Monte Generoso (Prealpy Luguńskie). Na zaśnieżonym zboczach stracił równowagę i stoczył się ponad 400 metrów w dół, nie odnosząc przy tym na szczęście poważniejszych obrażeń (tylko dwa złamane żebra). Został w miejscu i poczekał, aż zapadnie zmrok.

W ciemności zaczął świecić lampą błyskową jednorazowego aparatu fotograficznego. Sygnały świetlne zostały zauważone i ratownicy dotarli do niego jeszcze tej samej nocy. Czekać na zapadnięcie zmroku, Włoch powziął jedyną słuszną decyzję. W świetle dziennym sygnały byłyby niewidoczne, a bateria aparatu szybko by się wyczerpała.

Narzuca się w tym kontekście ważna uwaga. Czekanie na pomoc trwałoby w powyższych wypadkach na pewno znacznie krócej, gdyby zaginieni mieli przy sobie telefony komórkowe.

Poniżej dwa z wielu przykładów dowodzących, że próby samodzielnego ratowania się z opresji dalszą wędrówką przez nieznany i stromy teren, mogą się skończyć źle.

W 1993 roku pewne małżeństwo wyruszyło z Liesingau na Kerschgernkogel (Niskie Tauiry). Podejście **się udało, na szczycie wpisali się** do księgi pamiątkowej. Podczas schodzenia nie mieli już tyle szczęścia. Mężczyzna, prawdopodobnie na skutek potknięcia, spadł **w dół stromej rynnicy** i doznał śmiertelnych obrażeń (złamanie karku). Żona **chciała** pomóc mężowi, próbowała do niego zejść, co również skończyło się śmiertelnym upadkiem.

W połowie lat 90. matka z dwojgiem dorosłych dzieci (**syn i córka**) **wybrali** się na wędrówkę w okolicach masywu Hochgern (Alpy Chiemgawskie). Matka i syn mieli niewłaściwe obuwie. Zapewne właśnie to spowodowało potknięcie się kobiety i jej upadek ze ścieżki biegnącej przez pn. ścianę Schnappenbergu. Spadła z 30-metrowego skalnego progu i stoczyła się dalszych 150 metrów w dół stromego, zalesionego zbocza. Jej ciało zatrzymało się na pniu drzewa. Dzieci prawdopodobnie chciały przyjść matce z pomocą, co również skończyło się śmiertelnymi upadkami. Ponieważ nikt dokładnie nie wiedział, jaką trasę zaplanowali, ciała całej trójki udało się odnaleźć dopiero po dziesięciu dniach.



Zwykle prowadzą na manowce: skrót

Kto skraca drogę ...

... ten miewa trudności z powrotem do domu. Korzystanie ze skrótów może być naprawdę niebezpieczne. Powinniśmy tego unikać. Zwłaszcza jeśli nie mamy przy sobie mapy albo nie jesteśmy zbyt biegli w jej czytaniu. Lepiej nie schodzić ze szlaku. Ludzie, którzy go poprowadzili, dobrze wiedzieli, czemu zrobili to tak, a nie inaczej (w końcu zazwyczaj robili to okoliczni mieszkańcy, którzy mieli świetne rozeznanie w terenie). Na drodze zawsze jest bezpieczniej i nie tak łatwo ją zgubić. A jeśli te argumenty do nas nie trafiają, to pomyślmy o ochronie środowiska. Przyrodzie naprawdę nie służy jej nadmierne rozdeptywanie.

Dwoje turystów bardzo późno rozpoczęło zejście z Trettachspitze w Alpach Algawskich. Zaczęło się ściemniać, więc postanowili opuścić szlak i zejść bezpośrednio do doliny. Myśleli, że zadanie będzie proste, ale kiedy zapadła noc, utknęli na dobre w stromym terenie. Ich kolejna decyzja była już słuszną: powstrzymali się przed dalszą drogą i założyli biwak (na którym potwornie marzli). Ponieważ nie wrócili na czas do swojej kwatery, gospodarze zawiadomili ratowników, którzy

znaleźli ich następnego dnia. Trzeba zaznaczyć, że drogę, którą opuścili, byłoby trudno zgubić nawet w zupełnych ciemnościach. Zatem jeśli już koniecznie chcemy sobie skrócić drogę, **to wyłącznie wtedy, kiedy** jesteśmy w stanie objąć wzrokiem cały skrót i widzimy, że jest dostępny na całej długości. Jeśli choć części skrótów nie widać, sytuacja jest niepewna. A wtedy lepiej zostać na szlaku.

Barierki mogą być niebezpieczne

W eksponowanym terenie barierki odgradzające ostrzegają turystów: „Uwaga, po drugiej stronie jest naprawdę stromo i istnieje ryzyko upadku w przepaść”. Ale to nie jedyna funkcja barierki. Sądząc po zachowaniach ludzi, służą głównie do tego, żeby się o nie opierać. I mają w sobie chyba magiczną moc przyciągania: postaw człowieka koło barierki, a zaraz zobaczysz, że się o nią opiera czy wręcz na nią zwała.

Na zdrowy rozum za utrzymanie barierki w należytym, bezpiecznym stanie powinien odpowiadać zarządca drogi, na której się znajdują. Powinien też, podobnie jak ma to miejsce w wypadku drogowym, ponosić odpowiedzialność za zaniedbania¹. Nikt myślący nie sądzi przecież, że na eksponowanych górskich drogach barierki ustawiane są dla ozdoby. Zakładamy automatycznie, że mają jeszcze jakąś praktyczną funkcję do spełnienia. Podobnie jak np. balustrady balkonowe, o których wiadomo, że wytrzymają, kiedy się o nie oprzemy czy nawet zwalimy na nie całym ciężarem. Oczywiście nie możemy oczekiwać, że każda barierka wytrzyma, kiedy nagle oprze się o nią albo wręcz na niej usiądzie amerykański



Magiczna moc przyciągania


turysta ważący 150 kg, ale ciężar przeciętnego człowieka wszystkie barierki powinny wytrzymać. Bywa jednak różnie. Zarówno jeśli chodzi o wytrzymałość barierki, jak i odpowiedzialność za jej brak, a także dochodzenie odszkodowań w sądzie.

Na początku lat 80. pewna kobieta oparła się o barierkę na eksponowanej drodze turystycznej w masywie Stangenwand. Barierka niestety nie wytrzymała obciążenia, złamała się, a turystka spadła z urwiska i zginęła. Prokuratura w Innsbrucku, na podstawie domniemania o niedopełnieniu obowiązku utrzymania drogi w bezpiecznym stanie, wszczęła dochodzenie przeciwko towarzystwu alpinistycznemu, **który nią zarządzał**. Sprawa skończyła się wyrokiem niewinniającym, który – w opinii znanego eksperta w tej dziedzinie – „wszyscy przyjęli z ulgą”. Przekonujące okazało się następujące uzasadnienie: „Celem postawienia barierki było wskazanie miejsca zagrożenia upadkiem, w związku z czym bezzasadne jest wymaganie, by była w stanie wytrzymać

¹ Obowiązek utrzymywania dróg w bezpiecznym stanie spoczywa na ich zarządcach (zwykle są to jednostki samorządu, w górach najczęściej towarzystwa alpejskie lub turystyczne). Za szkody wynikłe z niedopełnienia tego obowiązku zarządcy ponoszą odpowiedzialność odszkodowawczą.

ciężar opierającej się o nią osoby”¹. Zgodnie z tą wykładnią, barierki nie służą do opierania się (a już na pewno nie do siadania), ale pełnią jedynie rolę odgrodenia.

Co robić?

- Każdą barierkę zawsze traktujmy przede wszystkim jako **odgrodenie**.
- Zanim oprzemy się o barierkę (o siadaniu na niej powinniśmy w ogóle zapomnieć), koniecznie sprawdźmy, czy jest stabilna. Można to łatwo przetestować, na przykład stukając ręką, czy barierka się nie chyboczą .
- O wspomnianych środkach ostrożności warto pamiętać zwłaszcza wtedy, kiedy są z nami dzieci lub młodzież. Zazwyczaj rozsądza je energia i wychodzą z założenia, że mogą jej bezpiecznie dać upust, tażąc i skacząc po wszelkich barierkach i poręczach, co też zazwyczaj robią.

Trudno powiedzieć, czy te same argumenty przekonałyby prokuratorów niemieckich. Nie od dziś wiadomo, że austriacka i niemiecka **jurysprudencja znacznie się od siebie różni**.

W statystykach wypadki tego rodzaju rzadko ujmuje się oddzielnie, stąd też niewiele osób o nich wie i nie zapisują się w publicznej świadomości. W efekcie mało kto jest świadom istniejących zagrożeń i podobne zdarzenia wciąż się powtarzają. W 1982 roku w Austrii doszło do trzech tego rodzaju wypadków, które skończyły się upadkiem sześciu osób. Inny przykład, tym razem z Niemiec:

Jesienią 1992 roku grupa turystów dotarła do ruin zamku Muschenwang, wznoszących się wysoko nad doliną Aachtal w powiecie **Alb-Donaukreis**. Najbardziej popularny punkt widokowy w tym miejscu jest z trzech stron otoczony barierkami. Jeden z uczestników wyprawy stanął tuż przed barierką, zdykał ple-

cak, obrócił się tyłem do doliny i oparł plecami o barierkę, która niestety nie wytrzymała. Turysta spadł 20 metrów w dół prawie pionowego skalnego urwiska i zginął na miejscu.

Z mostami też bywa różnie

Nikogo chyba nie dziwi, że na górskich szlakach spotyka się mniej lub bardziej prowizoryczne mosty. Trudno oczekiwać, żeby nad każdym najmniejszym strumyczkiem były montowane konstrukcje równie bezpieczne, co mosty na autostradzie. I raczej nikt tego nie wymaga. Wręcz przeciwnie, większość osób postawiona przed koniecznością przejścia przez wyglądający na chwiejny i mało stabilny most odczuwa zew przygody i bardzo chętnie podejmuje to wyzwanie. Poza tym nie tylko prowizoryczne konstrukcje mogą się załamać. Zerwać potrafią się także te, które na oko wyglądają na zupełnie pewne i wytrzymałe.

W maju 1994 roku grupa turystów scho-



Był sobie most – w dolinie Roggental ... Na dole: Przekrój pnia spróchniałego drzewa

1 „Sicherheit im Bergland” („Bezpieczeństwo w górach”), rocznik Austriackiej Rady ds. Bezpieczeństwa w Górach, 1982, str. 186f.



W wąwozie Kitzlochklamm



Przez mosty zawsze najlepiej przechodzić pojedynczo (tu: Nepal, niedaleko Pokhary); strata czasu jest niewielka – raptem parę minut



Tablica przy wejściu do wąwozu: Uwaga! 1. Przez kładki należy przechodzić po kolei. 2. Nie przebywać na kładkach w grupach. 3. W żadnym wypadku nie siadać na barierkach, unikać wychylania się poza nie.

dziła z Hochplatte doliną Roggental (Alpy Ammergawskie). Kiedy troje z nich, zachowując między sobą około dwumetrowe odstępy, przechodziło przez most nad rzeką Roggenbach, ten nagle się zerwał i wszyscy troje spadli z wysokości czterech metrów do wody. Skończyło się na szczęście na szoku wywołanym nieoczekiwaną kąpielą, bez poważniejszych obrażeń. Warto dodać, że rankiem tego samego dnia podczas podejścia, te same osoby przeszły przez most w drugą stronę, poddając go dokładnie takiemu samemu obciążeniu. Ani wtedy, ani później most nie wyglądał na groźący zerwaniem. Policja, która badała sprawę, ustaliła, że wszystkie cztery pnie stanowiące kładkę mostu (grube na ok. 25-30 cm) „były w środku mocno spróchniałe”, czego na zewnątrz nie było widać.

W lipcu 1974 roku szkolna wycieczka zwiedzała wąwóz Kitzlochklamm w okolicy salzburskiego miasta Taxenbach. Kiedy część grupy stała na moście, pozując do zdjęcia, ten

się zerwał i pociągnął za sobą w spienioną toń 22 uczniów i dwoje nauczycieli. Ośmiu uczennic nie udało się uratować.

Zerwanie mostu w wąwozie Kitzlochklamm to na razie najbardziej spektakularny ze znanych wypadków tego rodzaju. Sprawa trafiła do sądu. Skazano inżyniera rzeczoznawcę, który na zamówienie gminy przeprowadzał ostatnią inspekcję mostu i całej drogi biegnącej przez wąwóz. Wprawdzie na oko belki, z których zbudowany był most, wyglądały na mocne i wytrzymałe, jednak od środka były już zupełnie spróchniałe. Sąd

ocenił, że inżynier nie sprawdzając stanu belki za pomocą próbnych nawierceń, dopuścił się zaniedbania.

Od tamtej pory przy wejściu do wąwozu wisi tablica, która między innymi ostrzega przed gromadzeniem się większych grup ludzi na kładkach. Czy to coś da? Niezależnie od tego mostki i kładki zostały odnowione oraz zabezpieczone żelaznymi dźwigarami.

Na górskich szlakach co rusz będziemy się natykać na drewniane mosty. Czy zanim zdecydujemy się przejść na drugą stronę, możemy w jakiś sposób zmniejszyć ryzyko wypadków podobnych do tych opisanych powyżej? Możliwości są niewielkie. Nie będziemy przecież nosić ze sobą wiertarki i przeprowadzać na każdej kładce próbnych nawierceń. Moglibyśmy ewentualnie sprawdzić, czy belki nie zaczęły już próchnieć od środka za pomocą kilku mocnych uderzeń czekana lub kijka (narciarskiego albo trekkingowego). Ale naruszenie powierzchni drewna przyspiesza proces jego rozkładu i każda tego rodzaju próba prowadziłyby do szybszego niszczenia mostu, zwiększając ryzyko jego załamania. A co, jeśli takie testy chciałby wykonywać każdy przechodzień? Z kolei wypadek w wąwozie Kitzlochklamm pokazał, że bez testów bezpieczeństwa mostu nie jest w stanie ocenić nawet specjalista. Zostają więc tylko dwie możliwości: albo zaufać, że most wytrzyma, albo się wycofać. Większość ludzi wybiera to pierwsze. I to bez dłuższego zastanowienia. Chyba że wyraźnie widać, że most trzyma się dosłownie na słowo honoru.


Wyprawa na Zugspitze

Troje Amerykanów koło siedemdziesiątki (kobieta i dwóch mężczyzn) postanowiło na zakończenie wycieczki po Niemczech zdobyć Zugspitze, najwyższy szczyt „starych, dobrych Niemiec”. Wybrali podejście od strony schro-



Amerykański sposób na niepogodę?



niska Wiener-Neustädter-Hütte  drodze powrotnej planowali zjazd kolejką do Ehrwaldu. Na szczycie zabłądzili we mgle i udało im się odnaleźć jedynie starą, nieczynną stację kolejki. Była już piąta popołudniu i zupełnie nie wiedzieli, co dalej robić. W końcu postanowili wrócić tą samą drogą, którą weszli. Pogoda się popsowała, zaczęło mocno padać i po chwili cała trójka była zupełnie przemoczona i wyczerpana. W pewnym miejscu (poza ścieżką, w dużej ekspozycji) jeden z mężczyzn prowadził kobietę za rękę. Ta prawdopodobnie straciła równowagę, a on nie był w stanie jej utrzymać. Kobieta spadła i pociągnęła go za sobą w dół. Amerykanka zginęła na miejscu, jej towarzysz doznał ciężkich obrażeń. Mężczyźni zaczęli wołać o pomoc. Na szczęście na podejściu wciąż znajdowali się ludzie, którzy usłyszawszy krzyki, wezwali pogotowie górskie. Ratownicy szybko przetransporto-

1 Czyli od strony austriackiej (przyp. J. Wala).

wali poszkodowanych do szpitala w **Garmisch-Partenkirchen**. Na miejscu okazało się, że temperatura ciężko rannego mężczyzny wynosiła już tylko 27 °C.

Tego rodzaju wypadki zdarzają się dość często i podejmowane akcje ratownicze są w zasadzie rutynowe. Tym razem jednak nie wszystko było tak jak zwykle. Ratownicy nie mogli uwierzyć własnym oczom: za odzież ochronną służyły Amerykanom plastikowe worki na śmieci z wyciętymi otworami na ręce i głowę.

Ręka na pulsie

Gospodarze schronisk muszą być prawdziwymi omnibusami – nie wystarczy sama umiejętność dbania o komfort gości. W kryzysowych sytuacjach często muszą radzić sobie w roli sanitariuszy, aptekarzy, psychiatrów czy przewodników duchowych, a najlepiej też ratowników górskich. No i oczywiście powinni dokładnie pamiętać wszystkich swoich gości. Nawet tych, którzy nie wpisują się do księgi schroniskowej, nie wiadomo dokąd poszli, a potem długo nie wracają.

75-letni radca z Wiednia postanowił przejść część długodystansowego szlaku turystycznego NSWWW 505¹. Wybrał niezbyt trudny, ale bardzo długi odcinek między schroniskami Hochangerhaus i Gleinalpenhaus w Lavantaler Alpen (część Alp Noryckich): minimum 10 godzin marszu, porządna wysokogórska wyprawa. Rano gospodyni schroniska zauważyła, jak urzędnik łyka przy śniadaniu ponad 10 (!) różnych tabletek. Miał szczęście, że zwróciła na to uwagę. Pod wieczór na wszelki wypadek zadzwoniła do schroniska Gleinalpenhaus, żeby sprawdzić, czy dotarł już na miejsce. Okazało się, że nie. Kiedy nie pojawił się również później, zaalarmowano pogotowie górskie. Ratownicy znaleźli męż-

czynę daleko od schroniska, na wysokości powyżej 2000 metrów. Miał złamaną nogę i był w tak złym stanie fizycznym, że gdyby nie akcja ratownicza, prawdopodobnie nie przeżyłby nocy.

Długodystansowe szlaki turystyczne są bardzo popularne. Niestety niektórzy najwyraźniej zapominają, że „długodystansowość” naprawdę oznacza długie dystanse i że ich pokonywanie wiąże się z odpowiednio dużym wysiłkiem. Od kiedy w 1971 roku otwarto szlak NSWWW 505, miejscowe pogotowie górskie ma pełne ręce roboty: na wspomnianym odcinku w każdym sezonie ratownicy przeprowadzają wyjątkowo dużo akcji ratowniczych.

Wczesnym latem 1997 roku grupa seniorów zaplanowała podejście ze schroniska Kemptener Hütte do schroniska Prinz-Luitpold-Haus w Allgäu. W dziewięciogodzinną trasę wyruszyli mimo złej pogody i zapowiedzi jej dalszego pogorszenia. Kiedy prognozy się sprawdziły, uznali, że jednak zawrócą do schroniska. Właśnie przeszli przez pole śnieżne i wracając, musieli je ponownie pokonać. Jeden z mężczyzn stracił równowagę i ześlizgnął się około 100 metrów w dół zbocza. Pozostali, widząc, że się podnosi i zaczyna wracać na szlak, ruszyli spokojnie w dół do schroniska Kemptener Hütte. Kiedy dotarli na miejsce, gospodarz schroniska zorientował się, że nie ma jednej osoby. Zapytał o brakującego turystę, a kiedy usłyszał, co się stało, zaniepokojony zaalarmował pogotowie górskie. Ratownicy odnaleźli starszego mężczyznę w stanie zupełnego wyczerpania i apatii, siedzącego w śniegu wciąż 100 metrów poniżej ścieżki, z której się ześlizgnął. Był tak przemoczony i wyziębiony, że zdaniem ratowników nie przeżyłby kolejnych dwóch godzin. Co się stało? Kiedy reszta grupy się oddaliła, znikając z pola widzenia mężczyzny, ten znów się poślizgnął i ponownie zjechał w dół. Kolejne próby powrotu na ścieżkę kończyły się tym

1 NS = Nord-Süd (północno-południowy), WWW = Westwanderweg – długodystansowy szlak turystyczny (przyj. tłum.).



W śniegu nigdy nie jest całkiem bezpiecznie

samym. W końcu wyczerpany turysta poddał się; usiadł zrezygnowany w śniegu, ulegając stopniowo coraz większemu wyziębieniu.

Narzuca się pytanie, dlaczego towarzysze wyprawy nie zaczęli, aż mężczyzna wróci na szlak? Skąd taka kuriozalna interpretacja pojęcia „górskiej solidarności”? Przyczyna może leżeć w tym, że współcześni ludzie z reguły nie potrafią sobie radzić w niezwykłych, kryzysowych sytuacjach. Widać to na

przykład podczas wypadków drogowych: mało kto wie, jak się zachować. Większość ludzi stoi bezradnie, nie wiedząc co robić, trwając w mniejszym lub większym szoku. Jesteśmy dziś tak bombardowani przez media scenami wypadków, że przyzwyczajamy się do biernego reagowania na nie. Stąd kiedy kryzysowa sytuacja zdarza się w rzeczywistości, nie mamy poczucia, że coś od nas zależy. „Ktoś inny” powinien się tym zająć. Ratowanie poszkodowanych to zadanie pogotowia, pomocy drogowej albo ratowników górskich – wszystkich, tylko nie nasze. I tak zanika stopniowo odruch (a także umiejętność) udzielania pomocy osobom poszkodowanym w wypadkach.

Zwykła nocna wyprawa

W nocy z 30 czerwca na 1 lipca 1998 roku około godziny 23:50, ratownicy górscy z bazy w Schliersee w Górnej Bawarii zostali postawieni w stan pełnej gotowości. Co się stało?

Pewien nauczyciel wyruszył z grupą 11 uczennic, w wieku od 11 do 14 lat, na nocną wyprawę do ruin zamku Hohenwaldeck. Za dnia podejście do ruin jest bezproblemowe,



Przez całe Alpy przewija się co roku około 40 mln turystów

trasa obejmuje tylko kilka lekko stromych odcinków. Niestety nauczyciel nie znał tego podejścia, w dodatku w nocy, którą wybrał na wyprawę, księżyc był akurat w nowiu. Ufał jednak latarce i mapie, które zabrał ze sobą. Jego podopieczne miały na sobie trampki, jedna z dziewczynek była w butach na platformie (!). Jedyna latarka, jaką mieli, padła już podczas podejścia, więc bezużyteczna stała się również mapa. Mimo tych przeszkód udało im się dotrzeć do ruin. Tu nauczyciel stwierdził, że nie będą jednak wracać tą samą drogą. Uznał, że trasa, którą podeszli, jest zbyt trudna, żeby nią schodzić po ciemku, zdecydował się więc na zejście inną drogą (której też nie znał!). Wybraną drogę zgubił i po jakimś czasie wycieczka wylądowała u szczytu stromej skalnej rynny. Nauczyciel polecił dziewczynkom, żeby złapały się za ręce i stworzyły łańcuch – „po to, żeby nikt nie spadł podczas schodzenia”. Pierwszą osobą, która spadła okazał się nauczyciel, za nim w dół poleciała większość uczennic. Wszystkie, które spadły, doznały obrażeń, w tym jedna bardzo poważnych ran głowy

i wstrząśnienia mózgu (przewieziono ją do kliniki neurochirurgicznej). Nauczyciel wyszedł z opresji bez większego szwanku.

Nakazał dziewczynkom, żeby zostały w miejscu, a sam z jedną z uczennic przedostał się na dół do drogi, na której udało mu się zatrzymać przejeżdżający samochód. Kierowca podwiózł go do budki telefonicznej, skąd zadzwonił po pomoc. Zaalarmowani ratownicy z Schliersee i Hausham ruszyli do akcji. Początek był trudny, bo w ciemności nauczyciel nie potrafił dokładnie określić, gdzie znajduje się pechowa rynna. W końcu ratownicy odnaleźli dziewczynki i za pomocą dwóch 100-metrowych lin wciągnęli je na górę; te najciężej ranne na noszach. W ciemnościach nie chcieli ryzykować opuszczania dziewczynek w dół, bo zbyt duże było zagrożenie spadającymi kamieniami.

W akcji wzięło udział 33 ratowników, siedmiu lekarzy pogotowia i 15 karettek. Dodajmy, że następnego dnia, podczas wywiadu dla prasy, nauczyciel z pełnym przekonaniem oświadczył, że „wszyscy uczestnicy wycieczki byli odpowiednio wyposażeni”.